



**ks. Józef Roman Maj**

Wojciech Ziemiński jakiego pamiętam

Wojciecha Ziemińskiego ze słyszenia znałem wcześniej, jeszcze w latach studenckich. Odwiedzał bowiem żeński akademik na Kickiego, co martwiło panią Młynarską kierowniczkę naszych akademików. Mignął mi jakoś w KIK-u kiedy dyskutował z panami Jerzym Braunem, Czesławem Domaradzkiem i Antonim Madejem o formach zaangażowania w sprawy niepodległości „Unii”, ogólnopolskiej organizacji o charakterze chadeckim powołanej podczas okupacji. Osobiście poznałem go 1 września 1973-go roku, kiedy na prośbę księdza rektora Tadeusza Uszyńskiego sprawowałem u św. Anny wieczorną liturgię za poległych podczas II-iej wojny światowej. Pamiętam, Msza św. już się zaczęła kiedy wszedł w otoczeniu sporej grupy osób do kościoła. Pamiętam miał biało- czerwona wstążeczkę przypiętą do marynarki, a jak zauważyłem jego wejście zrobiło na obecnych wrażenie, był bowiem dostrzegany w Warszawie działaczem opozycyjnym i to o czystej karcie

Po Mszy św. przyszedł z jakimś panem do zakrystii by podziękować mi za kazanie. Zapytał też jak się nazywam a kiedy się przedstawiłem zapytał czy doktor Karol May z Powstania Warszawskiego, ze Starówki był może moim kuzynem. Odpowiedziałem, że byliśmy bardzo bliską rodziną w XVI-ym wieku a teraz to już tylko dalekimi powinowatymi. Zapytał czy jestem ze św. Anny, odpowiedziałem, że jestem wikariuszem w Żbikowie. A on: „to bardzo ważna dla Warszawy parafia, tam był „Durchlager” po Powstaniu”. Wspominam te pytania by był ślad pamięci o tym, że

pan Wojciech miał bardzo poprawną i wyczerpującą wiedzę szczegółową z najnowszej historii. Zauważałem to i później, wielokrotnie, geografię barykad warszawskich w Powstaniu znał na wylot ale za godną szczególnego podkreślenia uważam jego wiedzę o tym co działo się z naszymi Rodakami na Kresach i na Syberii. Czasami wydawało mi się, że Kresy pozostały w nim jako jego Ojczyzna duchowa.

Właśnie z Żbikowie spotkaliśmy się w 1975 -ym roku na okoliczność odsłonięcia i poświęcenia tablicy upamiętniającej tenże obóz przejściowy dla warszawiaków po Powstaniu. Pan Ziemiński uczestniczył w tej uroczystości ze sztandarem wraz z grupą osób, które przez ten obóz przeszły a rozumiałem, że to on ich zorganizował, choć nie wiem jakim sposobem, bo o jakichkolwiek formach więzów wśród więźniów obozu w Pruszkowie do dziś nic nie wiem. Inicjatorami zainstalowania tablicy byli ksiądz proboszcz Antoni Pazik, pani Bandurska i pan Tokarski – parafianie żbikowscy. Pan Wojciech znał osobiście poprzedniego proboszcza księdza kanonika Romana Fiksa, więźnia obozów koncentracyjnych, stąd podczas herbaty głównie z nim rozmawiał. Pan Ziemiński wtedy w kościele nie przemawiał, krótkie słowo miała pani Bandurska jako bratanica byłego Biskupa Polowego, ale zabrał głos przy stole wspominając głównie ówczesnego właściciela majątku w Żbikowie, pana Zielińskiego i jego spontaniczną, owocną pomoc dla warszawiaków. Mówił też o jakiejś siostrze zakonnej bodaj Niepokalance, która uciekła przed bolszewikami ze wschodu i znalazła schronienie u państwa Zielińskich, a która też wspomagała uwięzionych warszawiaków głównie od strony medycznej. Tylko on wspomniał ofiarną posługę warszawiakom ówczesnego proboszcza żbikowskiego ks. Franciszka Dyżewskiego i hojność mieszkańców Koszajca i Domaniewia i o uratowaniu w Żbikowie siostry Jany Płaska, urszulanki szarej, ciężko rannej podczas Powstania.

Do Duszpasterstwa Akademickiego formalnie przeszedłem w 1975-ym roku, wkrótce po tej uroczystości i od tego czasu miałem już z panem Wojciechem trwałe kontakty, choć głównie na okoliczność najrozmaitszych wydarzeń publicznych lub uroczystości o charakterze patriotycznym organizowanych przez niego lub przez inne środowiska antykomunistyczne. Pamiętam jego trwałą obecność na obchodach

różnych rocznic niepodległościowych. Pamiętam, że był wśród sygnatariuszy tzw. „Listu 4-ech”, Właśnie na tę okoliczność po wyjściu z kościoła św. Anny zebrała się przy nim spora grupa osób chcących się dowiedzieć coś więcej o tym liście. Zaczął do nich przemawiać ale zaraz zgrnęła go milicja. O ile wiem szybko go wtedy wypuścili z aresztu. Był między nami pewien rys osobisty. Jego wizyty na Kickiego nie okazały się daremne. Zawarł bowiem związek małżeński z moją koleżanką uniwersytecką z akademika. Zdzisią, dziewczyną o dużej urodzie. I ona była spośród tej młodzieży, której w rzeczywistości PRL-u zawsze coś doskiwerało. Do niej mogłem omówić per „ty” a do Wojciecha zawsze per „pan” co w końcu zaakceptował.

Niewątpliwie był „kłopotliwym” znajomym nie tylko od tej strony, że ubecy bez przerwy się nim interesowali i prawie każdą z nim rozmowę trzeba było okupić wątpliwą przyjemnością rozmowy z ubekiem ale na przykład nigdy też nie było wiadomo z jakim pomysłem przychodzi, a umysłowość miał naprawdę żywą a pomysły zawsze kłopotliwe. Lubiłem go, choć w celach „samoobronnych” udawałem sztywnego, ale on chyba to wszystko czuł i z tej mojej sztywności nic sobie nie robił. Żeby choć raz przyszedł do św. Anny zapowiedziany. Nigdy. To trochę denerwowało Księdza Rektora, tym bardziej, że nie zaczynał rozmowy o sprawie w jakiej przyszedł dopóki ja nie przyszedłem a że byłem u św. Anny ciągle zajęty, czasami jak w ukropie to oczekiwanie pana Wojciecha niejednokrotnie trwało jakiś czas. Ksiądz Rektor też miał napięty kalendarz wiercił się więc na krześle, przeglądał papiery, podpisywał dokumenty kancelaryjne przyjmował interesantów w obecności pana Ziemińskiego a ten ze stoickim spokojem czekał, jakby nie dostrzegając sytuacyjnego wymiaru swej obecności mówił za każdym razem sakramentalne słowa: „Niech sobie ksiądz rektor nie przeszkadza”. Nigdzie indziej na mnie nie czekał tylko w pokoju rektorskim. Niezwykle rzadko przyjmował propozycję kawy, herbaty, czy wody ale kruche ciastka, które piekła siostra Rafaela, dominikanka, uwielbiał, jak ich nie było to się upominał. Lubił wystukiwać laską proste melodie, najczęściej żołnierskie.

Upatrzył sobie św. Annę jako zaplecze organizacyjne swej opozycyjnej działalności, bo to najwięcej się działo między katedrą św. Jana a dzisiejszym Placem Piłsudskiego, wówczas Zwycięstwa. Lubił też gromadzić ludzi przy „naszej” figurze

Matki Bożej, tuż przy kościele św. Anny nie wiem czy to nie powinno być upamiętnione, choćby jakąś małą tablicą commemoratywną na murze kościoła. To ważne miejsce dla środowiska niepodległościowego, tam bowiem byli przywoływani przez niego. Rzadko on osobiście, najczęściej ktoś z jego współpracowników przynosił przygotowane, już wypisane szarfy, czasem wiązanki a siostra Wanda umiała je ładnie scalić. Miała ona zresztą do niego jakąś słabość, wiem że czasami, poza wiedzą Księdza Rektora przyjmowała od niego nawet paczki nie wiem z pismami czy ulotkami. Wszystko to było przechowywane u sióstr za klauzurą, bo na naszym piętrze mowy o żadnej dyskrecji nie było, studenci byli wszędzie, a wiedzieliśmy przecież dobrze, że są i nasyłani, były różne prowokacje.

Lubił mnie „dokszałcać politycznie”, moją sympatię prochadecką uważał za oczywiste skrzywienie, ciągle mnie na piłsudczyka nawracał. Trzeba jednak przyznać, że posiadał zwięzłą i klarowną formę przekazu informacji a mówił trochę staroświecką ale naprawdę dobrą polszczyzną. Osobiście też był piłsudczykiem z krwi i kości. Na pewno idee piłsudczykowskie uważał za najbardziej stosowne do „obiektywizacji” nie tylko swoich poglądów politycznych. Było to wielokrotnie przedmiotem naszych osobistych dyskusji. O Marszałku i jego żołnierzach mógł mówić bez końca. On potrafił nawet bronić zamachu majowego czy Berezy Kartuskiej a Piłsudskiego gdyby mógł to by i na ołtarze wyniósł. Na Narodowej Demokracji suchej nitki nie zostawiał, do Stronnictwa Pracy ciągle miał jakieś „ale”. Byłem na niego autentycznie oburzony, kiedy w jednej z naszych rozmów potrafił nawet generała Józefa Hallera określić: „Ni pies ni wydra coś na kształt świdra”. Wdałem się wtedy z nim w zdecydowany spór nie mogłem bowiem zaakceptować jego krytyki niepodległościowej postawy generała i chyba zrozumiał, że przesolił ale nawrócenia w nim nie widziałem. Choć byliśmy trochę z „różnych światów” to on mnie najwyraźniej akceptował a co więcej darzył zaufaniem.

Słyszałem, że na demonstracjach bardzo dobrze przemawiał podobno miał wznosić chwytliwe okrzyki, łatwe do skandowania przez demonstrantów. Osobiście, z zasady w żadnej nie uczestniczyłem, jedynie, kiedy na to pozwalały mi obowiązki, czasami wychodziłem przed kościół by popatrzeć. Widziałem wtedy, że był na czele

pochodów. Na jednym z nich widziałem idącego obok późniejszego Prezydenta Bronisława Komorowskiego. Pewnego razu zaprosiłem go na spotkanie z młodzieżą, ale albo nie był w formie albo zebrana młodzież niesposobna, albo zagrały rolę jakieś inne czynniki bo młodzieży nie rozruszał a myśmy, jako Ośrodek Akademicki, mieli z jego powodu na tę okoliczność więcej niż duże kłopoty z Urzędem do Spraw Wyznań. Ja nawet byłem wezwany do księdza kanclerza Kurii Metropolitalnej Warszawskiej bo rzeczywiście nie poinformowałem wcześniej Księdza Rektora o tym spotkaniu ale przecież to mi się nie pierwszy raz zdarzyło i ani wcześniej ani później nie miałem takich kłopotów. W rezultacie już go więcej nie zaprosiłem, ale byłem zadowolony jak po wykładzie konwersatoryjnym już w wolnej dyskusji któryś z chłopców informował „co było u Ziemińskiego”, a rzeczywiście umiał wprowadzić w publiczne spotkania sprawy aktualne, sprawy autentycznie interesujące ludzi.

W sprawach Niepodległości Polski poglądy miał zdecydowane, wyraźnie zindywidualizowane, może nawet radykalne jak szeregowych żołnierzy z 1920-go roku ale na pewno epitety jakimi darzyła go strona komunistyczna a szczególnie trudny do zapomnienia pan Urban były przesadzone w swej złośliwości. Odbieranie wartości intelektualnej poglądom jakie głosił np. przez wzgardliwe określenia typu „oszołom” były dezinformujące opinię publiczną i zupełnie nie uzasadniane merytorycznie. Generalnie uważam, że komuniści byli przewrażliwieni co do jego osoby. Pamiętam jak w 1983-im roku byliśmy z Księdzem Rektorem molestowani przez UB po Mszy św. dla korpusu dyplomatycznego państw alianckich z czasu I-szej wojny światowej, która tradycyjnie była u św. Anny organizowana przez Ambasadę Francuską 11-go listopada, tylko dlatego, że był na niej obecny pan Wojciech choć nie powiedział ani słowa. Nie zapomnę 17-go września 1990-go roku. Pierwsze państwowe obchody napaści sowieckich na Polskę w 1939-ym roku połączone z nieco opóźnionymi obchodami 50-cio lecia całego wydarzenia byłem na nie oficjalnie zaproszony. Po złożeniu wieńca przy Grobie Nieznanego Żołnierza pan Ziemiński podszedł do mnie i dalej staliśmy razem. Wówczas, pełen entuzjazmu, odezwałem się do niego: „Panie Wojciechu! Wreszcie wolna Polska”. A on skrzywił się jakby cytrynę połknął i mówi: „To nie jest wolna Polska, to Polska okrągłostołowa, a ta gangrena może trwać dłużej

niż komunistyczna”, potem z dużym sarkazmem powiedział coś o Tadeuszu Mazowieckim i o Lechu Wałęsie. Właśnie w takiej kolejności.

Pewnego wieczoru przyszedł do mnie i czekał aż po niego przyjadą by wspólnie jechać gdzieś aż za Sulejówkę. Rozmowa była bardzo naturalna a on w pewnym momencie;”Proszę księdza, jak ksiądz się uchował?” Ja: „Nie rozumiem panie Wojciechu” a on: „Proszę księdza jest w księdzu coś takiego prostego i szczerego jak u ludzi przed wojną, jak ksiądz to ocalił?” A ja: „Panie Wojciechu, ja nawet nie wiem o czym pan mówi, po prostu jestem taki jakim mnie wychowali moi rodzice”. I wtedy dopiero zaczął się jego dyskurs, dyskurs pełen troski o tym jak przywrócić godność Narodowi, jak szukać formy ponownej jedności między Polakami jak odbudować struktury życia narodowego i obywatelskiego, jak wracać do normalności, do ideałów jakie ożywiały poprzednie pokolenia Polaków co zrobić z młodzieżą, czy da się odzyskać polską szkołę dla Polski? Mówił to z takim zaangażowaniem osobowym, że właśnie wtedy zrozumiałem, że w tym człowieku, w jego świadomości nie ma nic od Polski ważniejszego, a Ona po prostu w nim jest.

Z charakteru to był chyba trochę cholerykiem, a może to był tylko jego jakiś rys emocjonalny a uparty był jak Litwin. Pamiętam jak przyszedł do mnie pewnego popołudnia a ja akurat miałem spotkanie przed chrztem ze studentem który chciał się ochrzcić. Rodzinnie wywodził się z Polaków, którzy mieszkali w Moskwie, byli stosunkowo wysokimi urzędnikami państwowymi ZSRR. Dla pana Ziemińskiego to była gratka do rozmowy nie byle jaka. Rzucał mu pytania z taką gwałtownością, że aż tamten w pewnym momencie mówi: „Proszę pana ja dostaję zadyszki”, ale prawdziwa pasja ogarnęła starszego pana kiedy ów student powiedział: „Proszę pana, pan widzi tylko same zło w Związku Radzieckim a tak nie jest. Trzeba być sprawiedliwym i powiedzieć, na przykład, że to dzięki Stalinowi Polacy weszli w swoje stare granice na zachodzie i nie byli tak rozrzedzeni jak inne narody Związku Radzieckiego, zachowali największą wolność ze wszystkich państw komunistycznych”. Warto było widzieć pana Wojciecha w dalszym ciągu tej rozmowy a ja właśnie wtedy poznałem jak zasadnicze miejsce mają w jego przeświadczeniach osobistych nasze narodowe imponderabilia kiedy tłumaczył temu młodemu człowiekowi istotę komunistycznego

„zamachu na polskość” przedstawiając jednocześnie jego konkretne formy. Wtedy też poznałem jak szlachetne było jego poczucie naszej godności narodowej.

Na pewno Wojciech Ziemiński był barwną postacią, akceptowałem go takim jakim był, ceniłem sobie bardzo nasze osobiste kontakty, byłem mu bardzo wdzięczny za jego pełną poświęcenia działalność patriotyczną, bardzo ale to bardzo szanowałem jego poglądy, zawsze je uważnie odbierałem ale muszę powiedzieć, że nie zawsze go rozumiałem. Nie do końca rozumiałem miejsce pana Wojciecha w Komitecie Obrony Robotników, co do którego osobiście zachowywałem pewien dystans, a co najważniejsze niepokoiła mnie różne „oświadczenia” KOR-u podawane do wiadomości publicznej bez żadnych not wyjaśniających, a przez niego też podpisywane. Uspakajało mnie jednak, że w sprawach kombatantów zachowywał się jakby niezależnie zupełnie od KOR-u. Szczególnie ważną była dla mnie jego rozmowa z panem Karolkiewiczem której byłem świadkiem a w której zdecydowanie podzielał on dość powszechny w środowisku kombatantów sprzeciw wobec idei finlandyzacji Polski głoszonej przez przywódców KOR-u. Nie do końca rozumiałem jego fascynację osobą księdza Jana Ziei, dla mnie bowiem jego poglądy były jakby rodem z księdza Ściegiennego, budziły we mnie lęk. Wiedziałem, że ksiądz Zieja jest księdzem lewicującym, po jego wypowiedzi dotyczącej likwidacji warstwy ziemiańskiej przez komunistów, księdzem o dość radykalnych poglądach „klasowych”, chyba wyniesionych z rodzinnej wsi, choć bez wątplenia człowiekiem prawym, szczerym polskim patriotą, człowiekiem o dużej odwadze cywilnej. Nie do końca rozumiałem meandry zachowań politycznych pana Wojciecha: Komitet Obrony Robotników – Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela -Porozumienie na Rzecz Samostanowienia Narodu w którym znalazły miejsce różne dziwne postaci – udział w różnych, niekoniecznie spójnych inicjatywach społecznych ale silne moje osobiste przekonanie o jego prawości, jako człowieka, było przyczyną, że darzyłem go zawsze zaufaniem, tym bardziej, że wszędzie gdzie był starał się być sobą, co zauważałem. Na mój osobisty użytek te formy jego zachowań w życiu publicznym odbierałem jako element prowadzonej przez niego gry politycznej, ale nie byłem pewny trafności tego osądu.

Przyszła pełna napięcie jesień 1980-go roku, pan Wojciech został zaaresztowany

tym razem na dłużej. To budziło mój niepokój ponieważ głównie od pana doktora Szlenka, ale nie tylko wiedziałem co nieco o jego problemach zdrowotnych. Niepokój mój podzielał pan prezydent Kaczorowski, który wysoko cenił działalność niepodległościową pana Ziemińskiego i miał o niej sporą wiedzę. Pan doktor Szlenk nasz „nadworny” lekarz u św. Anny z własnej inicjatywy, bez najmniejszej mojej zasługi, dostarczał panu Wojciechowi do więzienia leki z naszych świętoannowych zapasów. W tamtym czasie było to bezcenne ponieważ brak leków był wtedy w Polsce powszechny. Wiem, że między innymi przez doktora Szlenka utrzymywał z więzienia kontakty ze swoim środowiskiem. Odwiedził mnie jakoś zaraz po wyjściu z więzienia. Musiało to być w marcu 1981-go roku, bo kojarzy mi się z moimi imieninami ale rozmowa nasza wcale nie była imieninowa. Zdominował ją dramatyczny stan zdrowia Kardynała Prymasa, coraz ostrzejsze ataki na papieża Jana Pawła II w prasie sowieckiej i w „demoludach”, oraz daleko posunięty krytycyzm pana Wojciecha wobec Lecha Wałęsy. Na tle euforii społecznej jaka wtedy otaczała przewodniczącego „Solidarności” ten ostatni wątek naszej rozmowy był naprawdę czymś wyjątkowym. Miałem przecież świadomość, że rozmawiam z człowiekiem, który dopiero co wyszedł z więzienia. Skąd on miał takie szczegółowe informacje o ruchach pana Wałęsy? Informacje, których nie było ani w prasie oficjalnej ani w „drugim obiegu” To mnie wtedy po prostu zafascynowało. Słuchałem jego uwag uważnie bo wiedziałem też, że jako członek KOR-u poznał poglądy dobranych sobie wówczas przez pana Wałęsę nowych doradców. Ocena pana Wojciecha była jednoznaczna: przy takich doradcach interes Polski nie będzie dla „Solidarności” najważniejszy. To „lewackie poplątanie” - powiedział.

Pan Ziemiński był razem z nami u św. Anny w ten niesamowity wieczór 13 maja 1981-go roku. Widziałem, że płakał razem z ludźmi. Większość czasu przestał oparty obyma rękami o laskę ze spuszczoną głową. Po mszy św. nie przyszedł wtedy do mnie nawet na sekundę co zawsze czynił, ale podczas mszy św. widziałem wręcz lęk w jego oczach. W czasie stanu wojennego broniłem go dwukrotnie przed panem Pudyszem z MSW. Gubię jednak wątki jeśli idzie o jego działalność publiczną w tych latach „burzy i naporu”, ale wiem, że jego zaangażowania publiczne w czasie „wiosny



Solidarności” były bardzo intensywne. Pewno z tego powodu a może z tego powodu, że z demonstracjami nie trzeba było już wiązać takiego stopnia konspiracji, ustały wówczas nasze kontakty osobiste, ale byłem bardzo zadowolony kiedy dochodziły do mnie wiadomości, że współpracuje z Ulą Doroszewską i z panem profesorem Stefanem Kurowskim ze Stronnictwa Pracy. Dochodziło też do mnie, że jest jakoś włączony w oficjalne struktury „Solidarności”, ale zupełnie już nie pamiętam w jakie.

W 1982-im roku znowu trafił do więzienia, ale wtedy już działał „Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom”. Dzięki osobistemu zainteresowaniu pana mecenasa Andrzeja Grabińskiego, który był w zespole prawnym tego Komitetu, i był bliskim znajomym pana Wojciecha został on otoczony serdeczną opieką przez nasze panie. Ja też jako sekretarz tego Komitetu byłem wrażliwy na to co w związku z nim dochodziło do naszej wiadomości. Zupełnie już nie pamiętam kiedy to było ale wiem, że przedstawiciel tego Komitetu we Francji, ksiądz Stanisław Plater zorganizował panu Wojciechowi leczenie w Paryżu, chyba z pełnym pokryciem kosztów. Wiem, że w to był też jakoś zaangażowany pan Jacques Chirac . Podczas pobytu w paryskim szpitalu pan Wojciech założył tam „Kongres Europy Środkowo – Wschodniej”, ale nie znam losów dalszych tej jego inicjatywy, wiem tylko, że bardzo zdenerwowała ubecję oraz, że do tego komitetu przystąpili też działacze opozycyjni z tych krajów.

W roku 1986 powstał „Społeczno Kościelny Komitet Uczczenia Ofiar Terroru Władzy z lat 1944 – 1956” Ksiądz Kardynał Józef Glemp przychylił się do prośby władz komitetu by jego siedziba była w zabudowaniach parafii św. Katarzyny. Pan Wojciech był zaproszony do jego składu, utrzymywał z nami ścisły kontakt, ale stan zdrowia i inne zaangażowania nie pozwalały mu systematycznie uczestniczyć w jego pracach. Był jednak raz po raz przywoływany do, jak to nazywaliśmy „rozmów specjalnych” podczas których najczęściej redagowano syntezę wiedzy o faktach i wydarzeniach oraz ich ocenę. To on poinformował różne środowiska o próbie aresztowania mnie i o obronie mnie przez wszystkich członków Komitetu. Pamiętam z jaką satysfakcją obserwowali chowanie kajdanek do torby. Po ogłoszeniu konkursu na pomnik jury wybrało projekt pana profesora Macieja Szańkowskiego. Ja jednak

chciałem ocalić pamięć także o projekcie pana Maksymiliana Biskupskiego, laureata II-go miejsca. Pan Biskupski zrobił odlew miniatury swego projektu, umieściłem go więc na Starym Cmentarzu Służewskim. Wywołało to ogromne zdenerwowanie ubecji. Dość powiedzieć, że pewnej nocy „nieznani sprawcy” oddali kilka, bodaj pięć czy może dziewięć strzałów z broni krótkiej do tego pomniczka. Wiedziony li tylko intuicją kazałem go zabezpieczyć kilkuwarstwowym szkłem pancernym, chyba nawet wbrew autorowi, który chciał by był na wolnej przestrzeni. Dzięki temu służewski projekt pana Biskupskiego ocalał informacja o zajściu rozeszła się wśród ludzi. Przyjechał zobaczyć to miejsce i pan Wojciech. Projekt mu się bardzo spodobał, poprosił mnie o kontakt z panem Biskupskim a finalnym efektem tego kontaktu jest „Pomnik Poległym i Pomordowanym Na Wschodzie”. Pan Wojciech spowodował też przesłanie mojej książki o dokonaniach Komitetu na Zachód.

Kiedy powstał „Konwent św. Katarzyny” pan Wojciech Ziemiński był bardzo wytrwałym uczestnikiem jego posiedzeń i baczny obserwator. Lubił „w cztery oczy” wobec mnie komentować zaistniałe dyskusje, kolejne uzgodnienia czy pojawiające się opinie. Pamiętam ciężki wieczór. Rozmowy skończyły się dobrze po północy. Pan Wojciech podszedł do mnie przed wyjściem i powiedział: „Kaczyński (a dotyczyło to Lecha Kaczyńskiego) umie myśleć o Polsce. Daj Bóg, żeby go nie zmarnowali”. Odżyła we mnie pamięć tej rozmowy gdy pan profesor Kaczyński został Prezydentem Polski. Odżyła we mnie gdy zginął pod Smoleńskiem. Razem z panem Gozdawą – Gołębiowskim stanowili „twardy duet niepodległościowy” jak to określił pan mecenas Jan Olszewski, późniejszy premier. Nawet siadali koło siebie, wspierał ich w różnych kwestiach pan Pernach też ze środowiska niepodległościowego. Jeśli dobrze pamiętam to chyba tylko oni z członków Konwentu przypominali sprawę polskich mniejszości zostawionych swojemu losowi na Wschodzie mówili o potrzebie pracy nad zredagowaniem nowych współczesnych form patriotyzmu, a co najważniejsze naciskali na obecność spraw Niepodległości Polski w rozwiązaniach politycznych prawicy. Umieli dostrzegać skutki proponowanych rozwiązań politycznych wybiegając nieraz daleko poza sytuację bieżącą. Pamiętam jak podczas pewnej gorącej dyskusji pan Wojciech nie wskazując personalnie na nikogo mówi:

„cholera mnie bierze jak widzę jak teraz wszyscy chorują na bieżączkę” i dopiero po tym zaczął swoją kwestię. Ci „wszyscy” doskonale zrozumieli do kogo z nich to się odnosi. Właśnie na okoliczność prac Konwentu zdarzył mi się też dość ostry spór z panem Wojciechem kiedy w bardzo wąskim gronie poruszył on sprawę rewizji polskich granic wschodnich. Pamiętam, byłem tym wprost przerażony. Prosiłem go na wszystko by nie poruszał publicznie tego tematu. Obiecał mi i wydaje się, że dotrzymał słowa, przynajmniej w mojej obecności. Nigdy mu tego nie zapomnę. Podczas spotkań Konwentu zauważyłem, że ma zdolność dawania krótkich i trafnych komentarzy, do zasłyszanych wypowiedzi. Doskonale pamiętał kto co powiedział nawet wiele miesięcy wstecz. Zauważyłem, że choć uczestnicy Konwentu nieraz nerwowo reagowali na jego wypowiedzi to na pewno były one przez większość dostrzegane i brane pod uwagę.

Wojciech Ziemiński swoje życie poświęcił Polsce którą często i chętnie nazywał Najjaśniejszą Rzeczpospolitą. W swej narracji wszystko co Polskę stanowi otaczał wyraźnym szacunkiem. Miał w sobie coś ze starożytnych, którzy umieli sprawy swych narodów i państw „postawić ponad wszelką radość swoją”, czyli ponad swe sprawy osobiste. Miał w sobie coś z polskich romantyków, którzy rzeczywistość polską widzieli jako wartość samą w sobie, wartość przesięgającą nawet wprost bezcenną przydatność struktur państwa czy wprost koniecznych instytucji życia narodowego, wartość wyższą od racji stanu czy interesu narodowego, sięgającą metafizyki. Umiał to przekładać na doczesny wymiar zachowań ludzkich i bieżące konstatacje o charakterze międzynarodowym. W okresie jego starcia z komunizmem, poniewierania w więzieniach, w okresie jego ofiarnej i wytrwałej walki o przetrwanie tego co polskie wypracował w sobie obraz Polski godnej poświęcenia się dla Niej ze strony patriotów polskich. Kiedy przyszedł rok 1989 i raczej szara rzeczywistość „wolnej” Polski on ciągle głosił jej wielkość i zachęcał do wysiłku dla jej osiągnięcia. Tu było źródło jego postawy co do spraw publicznych w ostatnich latach jego życia, jego krytycyzmu co do spraw, które wówczas w Polsce się dokonywały, oczekiwań wobec Polski redagowanych w instytucjach, urzędach czy ośrodkach o charakterze międzynarodowym. Uważał, że zmiana postawy Rosji wobec Polski jest możliwa, ale

to proces długotrwały i wymagający dużego wysiłku z obu stron.

Nie potępiając faktu przekazania insygniów Rzeczypospolitej z Londynu do Warszawy, uważał, że ten akt legitymizował rzeczywistość polityczną, która na to według niego nie zasługiwała. Wprost z obrzydzeniem odnosił się do polityki „grubej kreski” uważając, że sankcjonuje ona w jakiś sposób zbrodnie, których się dokonali obywatele polscy wobec Narodu Polskiego w okresie komunizmu. Miał własne zdanie na temat tzw. „dekomunizacji”, twierdził wprost, że nie dokonano w Polsce procesu dekomunizacji, uważając, że będzie to ciężko nad polskim życiem narodowym i nad państwem polskim długie lata. Bardzo negatywnie oceniał dopuszczenie w Polsce do, jak to sam nazywał, „zwycięstwa nomenklatury partyjnej w procesie transformacji”. Formy rozwiązania w Polsce tego jakże trudnego wyzwania historycznego na jednym ze spotkań Konwentu św. Katarzyny nazwał „konserwacją utajnionych zagrożeń Niepodległości Kraju”. Do tego problemu odnosił się w sposób wprost emocjonalny. Za ciężkie zaniedbanie uważał brak wypracowania klarownych norm i form reprivatyzacyjnych. Wprost wstrętem napawało go postawa niektórych osób ze środowiska lewicowo liberalnego, którzy za granicą, bez skrępowania wypowiadali krytyczne sądy o tym co dzieje się w Polsce, ale i o Ojczyźnie a czasami, jak to mówił, wprost oczerniali nasz naród. Twierdził, że grzeszą brakiem obiektywizmu. Zarzucał też temu środowisku, wzgardę wobec innych środowisk społecznych, szczególnie wobec wsi polskiej. Postawę Kościoła w okresie transformacji oceniał jako niejednoznaczna. Nie tyle krytykował postawę księdza Kardynała Glempa, ile bolał go stosunek Kardynała do komunizmu jako faktu historycznego i jego osobiste relacje z komunistami ale do ataków na Kościół odnosił się więcej niż niechętnie. Często w rozmowach ze mną wiarę katolicką określał jako największy skarb Narodu. Najbardziej bolał go jednak brak odwagi polityków polskich do rozliczeń przeszłości. W tym temacie uwagi jego były bardzo cierpkie, a redagował je z uzasadnianym zaadresowaniem personalnym. To właśnie w odniesieniu do tej tematyki powiedział w mojej obecności do pana Krzaklewskiego: „Ja jestem tylko żołnierzem ale brak nam wodzów”, a mówił to z jakimś wyraźnym rozżaleniem. Szczególny żal miał do pana Lecha Wałęsy, że sięgnął po najwyższą godność w państwie po godność Prezydenta

Polski nie będąc, według niego, zupełnie do tego przygotowanym. Miał więcej niż krytyczne uwagi co do wielu osób pełniących funkcje publiczne w Polsce po 1989 a najostrzej wypowiadał się o panu ministrze Kozłowskim z MSW. Byłem świadkiem bardzo ostrej jego kontrowersji z panem profesorem Strzemboszem po jego decyzji o włączeniu środowiska prawniczego z procesu lustracji i słowach: „to środowisko samo się oczyści”. Pamiętam jak mu powiedział: „Przecież wśród was aż roi się od zbrodniarzy”. Proponował w takiej sytuacji powołanie specjalnego dla tego celu Sądu Koleżeńskiego, ale bez skutku.

Na pewno rzeczywistość jaka zaistniała w Polsce po 1989-ym roku daleko odbiegła od jego pragnień, a trzeba powiedzieć i to koniecznie, pragnień, które wyrastały z rzetelnej, jak mi się wydaje analizy polskiego interesu narodowego i twardych wymogów polskiej racji stanu, co w sposób interesujący umiał prezentować. Był gorącym zwolennikiem lustracji, ale przy ewidentnym braku aparatu krytycznego wobec zapisków ubeckich zaistniałe w Polsce formy lustracji wręcz utrudniały dochodzenie do prawdy, szczególnie w odniesieniu do środowisk opozycyjnych i do księży. Niepokoiła mnie też gwałtowność działań władz państwowych w tej sprawie o czym też rozmawialiśmy. Podczas rozmowy mówiłem mu o wartości metodycznej prac Instytutu Gauka w Niemczech mówiłem o gotowości niektórych osób z tego Instytutu do współpracy z Polakami ale on uważając opisywane przeze mnie fakty za mniejsze zło skwitował moje słowo: „W Polsce nie mamy czasu na takie zabawy”. Bardzo byliśmy spójni jeśli idzie o dokumentację polskiej udręki na Wschodzie. Proponowałem, by w związku z budową „Pomnika Pomordowanych na Wschodzie”, powołano ośrodek dokumentacyjny tej sprawy, by można było wreszcie osiąść uporządkowaną wiedzę na ten temat a nade wszystko ustalić charakter i wielkość strat polskich, spowodowanych agresywną wobec nas polityką Rosji Sowieckiej, ale niestety nie było wówczas na to warunków. Świadczenie jednak bardzo szybko wymierali, a konsensus polityczny co do tej sprawy nie wiem czy w Polsce po dziś dzień zaistniał.

Jeśli idzie o sprawy międzynarodowe to odnosiłem wrażenie, że pana Wojciecha interesuje to co dzieje się w Europie, w Rosji i w Stanach Zjednoczonych. Wyraźnie

dbał o aktualizację wiedzy z tego zakresu, „reszta” świata jakby go nie interesowała może poza relacjami Stanów z Izraelem. Kraje muzułmańskie uważał za naszych naturalnych sojuszników ale nie posiadał o nich wystarczającej wiedzy. Miał zresztą dość zindywidualizowaną wrażliwość na wydarzenia polityczne o charakterze międzynarodowym. Akceptował na przykład wejście Polski do Unii Europejskiej ale Stany Zjednoczone uważał za najważniejszego partnera Polski w sprawach międzynarodowych. Był krytycznie ustosunkowany do „ładu” politycznego w Unii Europejskiej, pamiętam, jak krytykował zbyt daleką, jego zdaniem ingerencję urzędów unijnych w życie obywateli, drażnił go lewicowo liberalny charakter władz Unii. Pamiętam jakieś okazjonalne spotkanie w podziemiach św. Katarzyny w 1998 albo 1999 roku, był już poważnie chory ale zdobył się na wcale nie krótką wypowiedź. Mówił o „zamachach lewackich” na Polskę, o zamachu militarnym w 1920 roku, o zamachu politycznym w 1945 roku i o zamachu cywilizacyjnym trwającym według niego obecnie. Twierdził, że celem obecnej rewolucji obyczajowej jest dezintegracja przekazu cywilizacyjnego i moralnego. Mnie najbardziej zainteresowała ta część jego wypowiedzi, w której punktował paralele między inicjatywami o charakterze społeczno – politycznym Róży Luksemburg i Karla Liebknechta a obecnym dyktatem władz Unii Europejskiej wobec Polski i innych krajów Europy Środkowej. Pamiętam jak powiedział na zakończenie „ale i to starcie musimy wygrać”. Był gorącym zwolennikiem idei Międzymorza. Prezentował wcale niemałą wiedzę na ten temat w odniesieniu do Węgier i Rumunii, często przypominał myśli Janasa Esterchaziego z tego zakresu. Orędownął gorąco za miejscem Białorusi i Ukrainy w tym projekcie, ale w rozmowach na ten temat regularnie dodawał: „Lwów, Grodno i Królewiec powinny wrócić do Polski”.co wywoływało uśmiezek u rozmówców. Bacznie obserwował to co dzieje się w Hiszpanii i we Włoszech, uważał, że w tych krajach wcześniej czy później wybuchnie rewolucja o charakterze anarchistyczno – lewicowym i dodał: „Burbonów to już całkowicie zneutralizowali, zniżyli swoimi machinacjami”, a szło mu o króla Hiszpanii Był zwolennikiem silnych związków Polski z Anglią oraz odbudowy relacji Polski z Niderlandami.

Przyszedł rok 2000. Dopiero co wróciłem z pielgrzymki do Ziemi Świętej, którą

odbywałem w czasie pobytu tam papieża Jana Pawła II, kiedy otrzymałem telefon od pana Wojciecha. Prosił mnie bym go odwiedził, bo jemu już było za ciężko poruszać się po mieście z tym „plecakiem tlenowym” i zaprosił mnie do siebie na Sady Żoliborskie. Naturalnie, że pojechałem chętnie. Osobiście mi otworzył i przywitał, choć oddech miał już bardzo ciężki. Siedliśmy a on: „musimy porozmawiać o poważnych sprawach”. Ja na to: „To co o Zbawieniu” a on: „Nie, nie o polityce”. Podczas całej rozmowy byłem raczej słuchaczem niż interlokutorem, nie byłem bowiem przygotowany intelektualnie do takiej rozmowy. Dzielił się ze mną swymi krytycznymi uwagami co do ostatnich nominacji kardynalskich papieża i co do nominacji biskupich Watykanu w Polsce. Nie wiem skąd on czerpał taką wiedzę ale mogła być tylko z wywiadu. Wiedziałem, że przyjaźni się z Gan – Ganowiczem, nie byle jaką postacią wywiadu francuskiego, ale wydawało mi się wówczas, że ten już nie żył. Potem przeszedł do prezentacji panoramy polityków polskich ówczesnego czasu, od prawa do lewa w ich odniesieniu do zagadnienia Niepodległości, na co można liczyć w tej sprawie z ich strony. Ta rozmowa to specyficzny testament, jaki on we mnie zostawił, testament do którego wracam pamięcią do dziś. Na trwałe została mi też w pamięci jego troska związana z dostrzeganą przezeń potrzebą wypracowania współczesnych form patriotyzmu Polaków. Do śmierci troska o Niepodległość Polski była w nim najważniejsza.